MICHAEL PALMER

Bezlitośni bioterroryści, którzy tracą kontrolę nad własną bronią

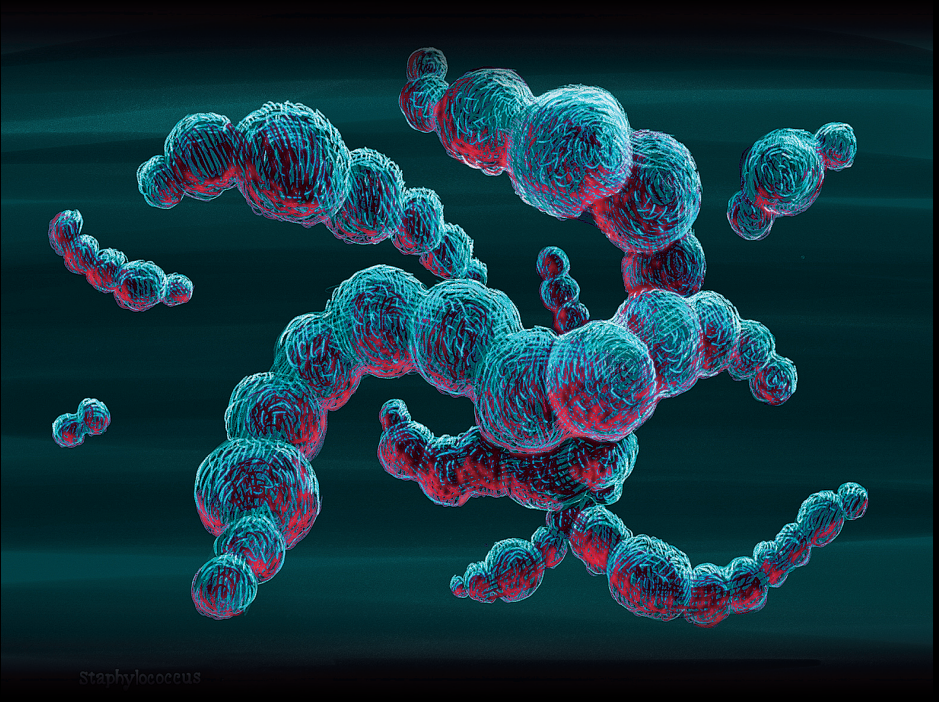

ODPORNY

PROLOG

Czarna chmura zawisła nad bostońskim szpitalem White Memorial.

Stan Bekki Seabury się pogarszał.

Po oddziałach i gabinetach słynnej instytucji, która przez dwa lata z rzędu zajmowała pierwsze miejsce na liście szpitali ogólnych w całym kraju, pocztą pantoflową rozeszły się z prędkością błyskawicy najświeższe pogłoski. Tego ranka miała zapaść decyzja – decyzja, którą prawie wszyscy związani z White Memorial, od salowych przez laborantów do pracowników administracji, odbiorą osobiście.

Niebawem zespół specjalistów – ortopedów, chirurgów i lekarzy chorób zakaźnych – miał postanowić, czy kontynuować bitwę z bakterią, którą prasa i inne media zaczęły nazywać Mikrobem Sądnego Dnia, czy skapitulować i amputować nastolatce prawą rękę tuż poniżej stawu barkowego.

W pokoju osiemset trzydzieści siedem budynku Landrewa zgromadziła się grupa starannie dobranych lekarzy i pielęgniarek. Ochrona przy drzwiach, a także przy każdej windzie i klatce schodowej pilnowała, żeby nikt z mediów i spoza niezbędnego personelu nie miał tam dostępu.

Od ponad dwóch tygodni, od dnia, kiedy Becca ponow-

nie została poddana zabiegowi, żeby zwalczyć zakażenie w miejscu pierwotnej operacji, informacje o jej stanie zdrowia trafiały na pierwsze strony gazet.

MIĘSOŻERNA BAKTERIA KOMPLIKUJE LECZENIE CHEERLEADERKI

Na etapie finałów stanowych siedemnastoletnia kapitan mistrzowskiej drużyny szkolnej doznała skomplikowanego złamania stawu łokciowego. Nagranie tego poważnego wypadku zostało umieszczone na YouTubie i natychmiast zapewniło Becce światową popularność. Po udanej rekonstrukcji przeprowadzonej przez doktora Chandlera Beebe'a, ordynatora ortopedii, pacjentce przez kilka dni podawano dożylnie antybiotyki, po czym podjęto ostrożną decyzję, żeby odczekać jeszcze jeden dzień i odłączyć kroplówkę.

Wtedy Becca Seabury zaczęła gorączkować.

Oddany do użytku niespełna dwa lata temu budynek Landrewa był najnowszym klejnotem w coraz większej koronie White Memorial. Na ósmym piętrze znajdowały się cztery izolatki, w których panowało ciśnienie niższe niż na zewnątrz – hermetyczne pomieszczenia z systemem wentylacyjnym wypompowującym więcej powietrza, niż było wtłaczane. Gdy pielęgniarka odprowadziła rodzinę Bekki do poczekalni, w przestronnym pokoju zostało siedem osób w rękawiczkach, fartuchach i czepkach.

Mierzący prawie dwa metry wzrostu Chandler Beebe górował nad pozostałymi.

Niemal niewidoczna wśród nich wszystkich, leżała nieruchomo blada dziewczyna o jasnej karnacji, z włosami w kolorze złota. Miała suche, spękane usta i rumieńce, które ani trochę nie wyglądały zdrowo. Z zawieszonego na stojaku

plastikowego worka krople ściekały do igły wbitej w zdrową rękę. Na karcie odnotowano temperaturę trzydzieści dziewięć stopni i dwie kreski, zbitą z czterdziestu, a ciśnienie krwi osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt.

Chandler Beebe, niegdyś rozgrywający w drużynie koszykówki Uniwersytetu Harvarda, zaliczał się do tych, których trudno wyprowadzić z równowagi. Teraz jednak pod maską i czepkiem był równie blady jak pacjentka. Wiedział, że to przez zapach. Pomimo wielu operacji przeprowadzonych w strefie wojny i podczas misji medycznych do krajów Trzeciego Świata nigdy w pełni nie przywykł do smrodu ropy i gnijącego ciała. Zerkając na monitor, z pomocą pielęgniarki podtrzymującej rękę Bekki zaczął odwijać bandaż, który własnoręcznie założył osiem godzin wcześniej. Sam miał dwoje nastoletnich dzieci, chłopaka i dziewczynę, uprawiających sport i osiągających doskonałe wyniki w nauce, równie dzielnych i zrównoważonych jak jego pacjentka. Nie mógł jednak wyobrazić sobie, żeby któreś z nich miało podejmować taką decyzję.

Kolejne warstwy bandaża były najpierw wilgotne od krwawego wysięku, a później zupełnie nim przemoczone. Wydzielina z długiej na dwadzieścia centymetrów rany pooperacyjnej cuchnęła, świadcząc o niepohamowanym rozwoju bakterii. Tkanki ściemniały. Dwa tygodnie wcześniej Beebe wraz z chirurgiem ponownie otworzyli nacięcie, które zrobiono, by skrupulatnie zrekonstruować staw. Infekcja zaatakowała z szybkością i zajadłością dywizji pancernej. Gorączka, dreszcze, opuchlizna, silny ból, odwodnienie, spadek ciśnienia krwi – wszystko to świadczyło o zakażeniu. Tamtego dnia nie mieli wyboru. Musieli przeciąć szwy, usunąć martwe tkanki, przepłukać ranę i założyć dreny.

Teraz nadszedł czas na kolejną decyzję.

Dół łokciowy Bekki Seabury – zagłębienie po wewnętrznej stronie – wyglądał jak zostawiona na słońcu mielona wołowina. Włókna mięśniowe, ścięgna i więzadła połyskiwały w blasku przenośnej lampy operacyjnej, skąpane w gęstej, zielonkawej ropie. Beebe usłyszał, jak doświadczona szefowa rezydentów głośno zasysa powietrze, i w duchu przysiągł w odpowiednim momencie skarcić ją za taką reakcję. W następnej chwili postanowił jednak tego nie robić.

– Becco, to ja, doktor Beebe. Słyszysz mnie?

Poza urywanym jękiem nie doczekał się odpowiedzi. Z zaciśniętymi zębami spojrzał nad łóżkiem na ordynatora oddziału chorób zakaźnych.

– Sid?

Sidney Fleishman wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Jak pan widzi, objawy infekcji nie ustępują. Zakażenie bez zmian, nie działa żaden antybiotyk z naszego arsenału. Liczba białych krwinek nieco spadła, ale nie ma żadnych innych oznak, że wygrywamy. Mamy zezwolenie na wypróbowanie jednego z najbardziej obiecujących leków eksperymentalnych, testowanych na paciorkowcach i gronkowcach złocistych, ale ten Mikrob Sądnego Dnia… te bakterie nie przypominają niczego, co widzieliśmy. Paciorkowiec, ale niezupełnie, oporny na metycylinę, wankomycynę i karbapenemy.

– Wnioski?

– Sądzę, że mamy trochę czasu. Niewiele, ale to więcej niż nic, zwłaszcza że zakażenie wciąż jest ograniczone do łokcia.

Beebe wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Fleishman, bystry jak nikt w White Memorial, zalecał kontynuowanie zachowawczego podejścia w połączeniu z podawaniem nowego eksperymentalnego leku, który wykazywał

skuteczność przeciwko opornemu na metycylinę gronkowcowi złocistemu.

Jak sądzisz, ile czasu? – miał już zapytać Beebe, kiedy Jennifer Lowe, pielęgniarka stojąca w nogach łóżka, chrząknęła na znak, że chce coś powiedzieć. Dotąd zajęta masowaniem lewej stopy Bekki, teraz przeniosła uwagę na prawą.

– Doktorze Beebe, lepiej, żeby pan na to spojrzał – powiedziała. – Godzinę temu niczego tu nie widziałam.

Odchyliła prześcieradło i wskazała stopę. Wszystkie palce były zaczerwienione, a sama stopa obrzmiała do połowy podbicia.

Beebe podszedł i zbadał nowe zmiany – najpierw wzrokiem, następie dłońmi w rękawiczkach.

– Sid?

Fleishman przyjrzał się stopie, po czym sprawdził, czy węzły chłonne w prawej pachwinie pacjentki nie są powiększone, co często jest oznaką rozprzestrzeniającego się zakażenia.

– Jeszcze nic – oznajmił – ale to wyraźnie nowa infekcja, prawdopodobnie spowodowana przez bakterie z ręki.

Chandler Beebe przeciągnął językiem po wargach i głęboko odetchnął.

– Jennifer, sala operacyjna gotowa? – zapytał.

– Tak.

– Zadzwoń i powiedz, że wieziemy Rebeccę Seabury na amputację prawej ręki. Porozmawiam z jej rodziną. Dziękuję wszystkim za współpracę. Mój zespół naprzód. Spotkamy się w sali operacyjnej. Aha, Jennifer, zadzwoń, proszę, do patologii i powiedz, że później wyślemy im na dół próbki.

Pokój szybko i po cichu opustoszał. Byli profesjonalistami, najlepszymi z najlepszych, ale każdy z nich był poważnie wstrząśnięty.

Jennifer Lowe, trzydziestoletnia weteranka sześciu misji do wiosek w Kongu, pochyliła się nad pacjentką. Niedawno się zaręczyła i za pół roku miała wyjść za fizjoterapeutę. Była przebojową kobietą, córką i wnuczką pielęgniarki.

– Bądź silna, mała – szepnęła. – Jakoś przez to przebrniemy. Po prostu bądź silna.

W tej chwili poczuła swędzenie pomiędzy palcem środkowym i serdecznym lewej ręki. Zawsze przed rozpoczęciem pracy zdejmowała skromny pierścionek zaręczynowy i nosiła go na mocnym łańcuszku na szyi. Cierpiała na egzemę, ale o łagodnym przebiegu i nigdy nie miała świądu akurat w tym miejscu.

Ani trochę nieprzejęta, podeszła do umywalki i ściągnęła lateksowe rękawiczki. Skóra między palcami była zaczerwieniona i popękana.

ROZDZIAŁ 1

> Wolność warta jest więcej niż każda perła w oceanie, każda uncja wykopanego złota. Dla człowieka jest cenna niczym powietrze, równie niezbędna do życia jak bijące serce.
>
> Lancaster R. Hill, *Tajemnica warta dochowania*, 1937

– Dwieście sześć… dwieście siedem… dwieście osiem…

– Śmiało, Wielki Lou. Tak dobrze boli. Powiedz to!

– Dobra, dobra – jęknął Lou Welcome. – Dwieście dziewięć… Tak dobrze boli… Dwieście dziesięć… Tak dobrze boli… O cholera, jak dobrze! Zaraz… pęknie… mi… brzuch… Dwieście dwanaście…

Lou robił brzuszki na dywanie pomiędzy łóżkami w pokoju sto siedemdziesiąt siedem szacownego pensjonatu Chattahoochee Lodge. Chrup Duncan, z ogoloną na łyso, lśniącą głową, nagi do pasa i już w spodenkach do biegania, klęczał przy jego stopach, trzymając go za kostki. Jego szeroki uśmiech jak zwykle przypominał gwiazdę przeradzającą się w supernową. Chrup zrobił trzysta brzuszków, zanim Lou wygramolił się z posłania, i wyglądało na to, że z łatwością mógłby wycisnąć drugie tyle.

Facet z krwi i kości, w każdym calu.

Pięćdziesięciodwuletni Bahamczyk, najbliższy przyjaciel Lou i od dziesięciu lat jego sponsor w AA, miał ciało, które

wyglądało jak wyrzeźbione przez jednego z potomków Michała Anioła. Jego przydomek, Kapitan Chrup, pochodził z czasów kariery zawodowego boksera, przede wszystkim od dźwięku, z jakim pękały łamane przez niego nosy.

Był czternasty kwietnia – czwartek. Lou przybył do Georgii na polecenie swojego zwierzchnika, psychiatry Waltera Filstrupa, nadętego szefa OOL-u, Ośrodka Opieki dla Lekarzy.

Słodka żona Filstrupa, Marjory, będąca biegunowym przeciwieństwem męża, leżała na OIOM-ie w szpitalu w Marylandzie z powodu arytmii serca, która nie reagowała na kardiowersję elektryczną. Filstrup, jako jeden z dwóch kandydatów na stanowisko dyrektora Narodowej Federacji Programu Zdrowia Lekarzy, miał zaś wygłosić przemówienie na dorocznym kongresie, który tym razem odbywał się w górskim pensjonacie na północ od Atlanty.

Żona na OIOM-ie kontra przemówienie w Georgii. Niech pomyślę…

Lou wcale się nie dziwił, że Filstrup miał olbrzymi problem z dokonaniem wyboru. Dopiero gdy Marjory zareagowała alergicznie na jeden z leków nasercowych, przekazał mu tekst swojej przemowy wraz z zaproszeniem na konferencję i funduszem reprezentacyjnym, który miał pokryć koszt posiłków, pod warunkiem że będzie spożywać tylko jeden dziennie.

Hura!

– Zwalniasz, Welcome – powiedział Chrup. – W ten sposób nie dojdziesz do trzystu.

– Wcale… nie mam… takiego zamiaru.

Chrup, w którym rzadko gasł duch rywalizacji, z zadowoleniem powtarzał, że trening większości ludzi dla niego jest rozgrzewką. Lou, dziewięć lat młodszy, mający metr

osiemdziesiąt wzrostu, czyli około dwóch czy trzech centymetrów więcej, wierzył w to bez zastrzeżeń. Ich znajomość zaczęła się w dniu, kiedy Lou zameldował się w Harbor House, ośrodku przejściowym dla trzeźwiejących alkoholików w jednej z podlejszych dzielnic Waszyngtonu. Chrup, a tak naprawdę Hank, pracował tam jako lider grupy, jednocześnie przymilając się do kolejnych banków, żeby zebrać fundusze na własne centrum treningowe. Dwanaście miesięcy później Lou wyszedł z nałogu, a klub Kontra stał się rzeczywistością. Dwaj przyjaciele, jeden czarny jak bezksiężycowa noc, drugi biały, błękitnooki, twardy, obdarzony determinacją rottweilera, z korzeniami sięgającymi być może do Pielgrzymów, trenowali razem trzy razy w tygodniu.

Po kolejnym roku, milionie spotkań i wypracowaniu nowej, znacznie spokojniejszej filozofii życia Lou odzyskał prawo wykonywania zawodu lekarza i wrócił do gry.

– No dobra – powiedział Chrup – zrób, ile możesz. Obniżanie poprzeczki nie jest przestępstwem. Byle nie za nisko.

– Czy zawsze… musimy… ze sobą… rywalizować? Dwieście dwadzieścia… dwieście dwadzieścia jeden…

– Po przebieżce pójdziemy na śniadanie. Nie jestem zwolennikiem rywalizacji w jedzeniu, jeśli to ci pomoże.

– Jasne. To byłaby jedyna dyscyplina, w której skopałbym ci tyłek.

Chattahoochee Lodge został zbudowany w latach dwudziestych ubiegłego wieku dla myśliwych; w 1957 roku, w tym samym, w którym Elvis kupił Graceland, poddano go renowacji. Rozległy rustykalny kompleks leżał w lesie w górach, wysoko nad brzegami wartkiej rzeki Chattahoochee. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych rozkwitła ekoturystyka, stał się centrum wypoczynkowym dla podróżników, ornitologów amatorów, turystów i uczestników konferencji,

z pokojami rezerwowanymi często z rocznym wyprzedzeniem.

Lou, licencjonowany lekarz medycyny wewnętrznej i ratunkowej, nigdy nie przepadał za uczestniczeniem w konferencjach medycznych, obojętnie jakiego rodzaju. Gdy poskarżył się Chrupowi na nieuchronnie zbliżający się wyjazd, w odpowiedzi usłyszał, że jedynym żyjącym krewnym przyjaciela jest podstarzała ciotka mieszkająca niedaleko Atlanty. Uznał to za dar niebios. Ponieważ pracował w pełnym wymiarze godzin na oddziale ratunkowym szpitala Eisenhower Memorial i na pół etatu w OOL-u, miał w swojej małej szkatule więcej, niż potrzeba na drugi bilet na południe. Całkiem przyzwoity czynsz za mieszkanie nad pizzernią Dimitri's, znajdującym się przy tej samej ulicy co sala gimnastyczna, sprawił, że udzielenie pożyczki sponsorowi stało się jeszcze mniej bolesne.

Ponieważ pomysł nie był od rzeczy, Chrup prawie bez targowania przyjął zaproponowaną przez Lou wymianę – w zamian za bilety dwa miesiące cotygodniowych sesji na ringu dla niego plus dodatkowe cztery lekcje dla jego nad wiek rozwiniętej córki Emily. Chrup chciał mieć miejsce przy oknie.

Pomimo konieczności znoszenia Filstrupa Lou uwielbiał pracę w OOL-u. Zarobki były kiepskie, ale ogromnie bawiła go ironia losu – z niedawnego klienta został przecież zastępcą dyrektora. Organizacja zapewniała wsparcie lekarzom, którzy cierpieli na choroby psychiczne i fizyczne, byli uzależnieni od środków odurzających, naruszyli granice kontaktu fizycznego z pacjentem i mieli problemy behawioralne. Większość nowych kontraktów OOL-u wymagała, żeby przeżywający trudności lekarz rozpoczął program od leczenia albo rehabilitacji szpitalnej, a następnie odbywał

regularne spotkania z przydzielonym mu terapeutą i wyraził zgodę na częste, niezapowiedziane badania moczu pod kątem obecności alkoholu i narkotyków.

Lou był zdecydowanie przeciwny, by niektórym lekarzom doradzać czy wysyłać ich na psychoterapię, ale głęboko wierzył, że bez względu na to, czy ktoś jest lekarzem czy nie, uzależnienie to choroba, a nie kwestia moralna. Walter Filstrup się z tym nie zgadzał.

Kiedy Filstrup w końcu przekazał mu swoje starannie wydrukowane przemówienie i program konferencji, Lou naprawdę zapalił się do podróży. Nie dość, że będzie biegał z Chrupem po górach, to jeszcze, gdy przyjaciel pojedzie odwiedzić ciotkę, wybierze się na sponsorowaną wycieczkę do Centrum Kontroli Chorób – CDC*.

Kolejny ironiczny zbieg okoliczności.

Lou prawie dziesięć miesięcy spędził w Atlancie, ale nigdy nie był nawet w pobliżu sławnego na całym świecie instytutu. Ostatni raz odwiedził miasto dziewięć lat temu z okazji spotkania ze swoją grupą terapeutyczną w Centrum Terapii Uzależnień Templeton.

Nadszedł czas, by zamknąć pewne sprawy.

---

* Centers for Disease Control and Prevention.

ROZDZIAŁ 2

> Jeden człowiek może marzyć, garstka ludzi planować, tysiąc uderzyć, ale tylko stu, którzy zajmują odpowiednie stanowiska i są skutecznie wykorzystywani, może zmienić oblicze świata.
>
> Lancaster R. Hill, *Stu Bliźnich*, 1939

Nazywał się Douglas Charles Bacon, ale kilku uczestników wideokonferencji znało go jako B-38. Litera B oznaczała bliźniego.

U podstaw Stowarzyszenia Stu Bliźnich, założonego w tajemnicy na początku lat czterdziestych dwudziestego wieku, leżał traktat filozofa politycznego Lancastera Hilla, *Stu Bliźnich*. Hill napisał swoje najważniejsze dzieło i kilka późniejszych prac w odpowiedzi na ekonomiczne i społeczne reformy Franklina Roosevelta, znane jako Nowy Ład. Początkowo było tylko dwunastu Bliźnich, strategicznie rozmieszczonych w całym kraju. W ciągu roku osiągnięto zalecaną przez Hilla liczbę stu członków, stu Bliźnich. Ni mniej, ni więcej.

Bacon był jowialnym, zażywnym południowcem, obdarzonym tęgim umysłem do liczb i posiadającym encyklopedyczną wiedzę na temat szkockiej whisky. Wciąż świetnie strzelał z remingtona, chociaż w wyniku wypadku podczas

polowania stracił trzy palce u lewej stopy i odtąd kulał. Jako prezes stowarzyszenia uczestniczył z urzędu we wszystkich siedmiu bieżących projektach. Dwa dni temu dostał informację, że projekt Janus, będący najbardziej ambitnym i dalekosiężnym przedsięwzięciem w historii organizacji, jest zagrożony.

Bacon pociągnął łyk macallana 18, jednego z ulubionych gatunków szkockiej, i uśmiechnął się blado. Nikt nigdy nie widział, żeby stracił nad sobą panowanie. Może właśnie szkockiej zawdzięczał zimną krew.

B-80, doktor Carlton Reeves, był profesorem chirurgii z Michigan. Kiedy Bacon dowiedział się o bakteriach Janus, kazał Reevesowi dokładniej się im przyjrzeć. Później, gdy uświadomili sobie ich oszałamiające możliwości, mianował lekarza koordynatorem projektu i pomógł mu stworzyć zespół współpracowników. To Reeves zwołał tę wideokonferencję komitetu doradczego.

Członkowie Stowarzyszenia Stu Bliźnich wtapiali się w otoczenie równie skutecznie jak kameleony w dżungli. Do pracy chodzili w garniturach i krawatach, we flanelowych koszulach, w mundurach albo fartuchach laboratoryjnych i często nosili aktówki. Mieszkali w miastach i miasteczkach w niemal każdym stanie i niezależnie od swoich talentów byli jednakowo szanowani za na pierwszy rzut oka niedostrzegalne umiejętności, jakimi wykazywali się w pracy. Różnili się wyglądem i zajmowanymi stanowiskami, ale łączyło ich wytrwałe dążenie do celu.

Wszyscy, zgodnie z najpowszechniejszą definicją, byli terrorystami.

Cel organizacji, bezpośrednio wynikający z koncepcji Lancastera Hilla, był całkiem prosty. Stu Bliźnich zobowiązało się do zlikwidowania za wszelką cenę dławiących na-

ród rządowych programów pomocowych, które sprawiły, że Ameryka balansowała na krawędzi bankructwa.

Bacon złożył krótką przysięgę w 1993 roku, przejmując funkcję prezesa po kobiecie, która podupadła na zdrowiu i zrzekła się kierowania stowarzyszeniem. Był to rok rozpoczęcia przez Billa Clintona pierwszej kadencji na urzędzie prezydenta, a także rok zamachu bombowego na World Trade Center przeprowadzonego przez islamskich fundamentalistów. Bacon, zdeklarowany demokrata i powszechnie szanowany bankier inwestycyjny, storpedował wysiłki mające na celu umieszczenie go na krótkiej liście kandydatów na stanowisko w gabinecie Clintona. Było ono zbyt eksponowane i ograniczałoby mu swobodę ruchów.

Biuro miał w północnej wieży WTC. Nie było go tam w czasie zamachu. Jego urlop zdecydowanie nie był kwestią przypadku, zważywszy, że sfinansował przedsięwzięcie, za którym stał Ramzi Yousef, i sam wyznaczył dzień eksplozji ciężarówki z bombą. Bliźni dążyli wówczas do podkopania zaufania publicznego do szefa Komisji Izby Reprezentantów do spraw Sił Zbrojnych, co miało doprowadzić do jego rezygnacji.

– Jesteśmy gotowi, B-80? – zapytał Bacon. – Z pewnością B-9 zaraz do nas dołączy, możemy więc zaczynać.

Jego twarz, podobnie jak twarze pozostałych, była cyfrowo zniekształcona. Na dole dużego ekranu widniały prostokąty zakodowanych przekazów wideo każdego uczestnika, podczas gdy środek był zarezerwowany dla osoby zabierającej głos. Obraz z kamery Bacona jako jedyny był widoczny w lewym górnym rogu na monitorze każdego uczestnika wideokonferencji.

Komitet doradczy zbierał się po to, żeby pomagać w planowaniu projektów albo podejmować decyzje dotyczące

któregoś członka. Bacon miał decydujący głos w radzie, ale wiedział, że gdy nie będzie mógł dłużej pracować, zostanie wykluczony ze stowarzyszenia, a jego numer przejdzie na następcę. Lancaster Hill siedemdziesiąt pięć lat wcześniej przezornie wyłożył zasady sukcesji:

> *Bliźni, który z powodu choroby nie może dłużej służyć sprawie, powinien zostać emerytowany przez radę, a jego numer przekazany następcy.*

Pomijając problemy zdrowotne, nikt nigdy nie odszedł ze stowarzyszenia z własnej woli. Członkowie byli czasami usuwani, kiedy utracili stanowisko lub zmalały ich wpływy, ale szybko znajdowano następców. Rzadko ktoś sam nalegał na odejście, bo wtedy uznawano go za zagrożenie dla bezpieczeństwa. W takim przypadku do akcji wkraczali specjaliści od eliminacji, otrzymujący honorarium od komitetu doradczego za dyspozycyjność.

Ostatni ekran pojaśniał, gdy Selma Morrow, B-9, włączyła kamerę. Była szefową strategii i logistyki w Phelps & Snowdon, firmie uważanej za jeden z najsilniejszych funduszy hedgingowych w kraju. Takie samo stanowisko zajmowała w komitecie doradczym stowarzyszenia i z tego powodu konsultowała wszystkie projekty. Jako faworytka Bacona miała go zastąpić, kiedy nadejdzie czas. Na razie nie miało to znaczenia.

Liczył się tylko szczep Janus.

– Miło was widzieć – powiedział B-80 – przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe. Nie zwoływałbym tego zebrania, ale musicie wysłuchać najświeższych wiadomości o projekcie Janus. Dla przypomnienia: bakterie Janus przyciągnęły naszą uwagę jakiś czas temu dzięki B-71, który

przypadkiem się na nie natknął podczas badań nad innymi drobnoustrojami. Mikrobiologia Janusa jest zbyt skomplikowana, żeby się nią tutaj zajmować. Powiem tylko, że zasadniczo większość bakterii dzieli się na dwie grupy, w zależności od tego, jak ich ściany komórkowe barwią się przy zastosowaniu metody Grama, opracowanej pod koniec dziewiętnastego wieku i wciąż powszechnie stosowanej. Bakterie Gram-dodatnie pod mikroskopem są fioletowe, a Gram-ujemne pod wpływem dodatkowego czerwonego barwnika, safraniny, stają się różowe.

– Przepraszam – odezwał się B-26, specjalista od psychologii mas – powiedziałeś, że większość bakterii jest albo Gram-dodatnia, albo Gram-ujemna. To znaczy, że nie wszystkie?

– Zgadza się.

– Czyżby bakterie Janus nie należały do żadnej grupy?

– Właśnie. Prawie wszystkie bakterie są albo Gram-dodatnie, albo Gram-ujemne. Nieliczne, w porównaniu z prawdopodobnie dziesiątkami milionów gatunków, są gdzieś pomiędzy, ani fioletowe, ani różowe. Niektóre nawet są Gram-zmienne, czyli barwią się dodatnio lub ujemnie w zależności od fazy wzrostu po wyjęciu z pożywki. Ale Janus jest inny. Jego kod genetyczny umożliwia zmianę z dodatniego na ujemny i z powrotem. Inne właściwości też ciągle się zmieniają.

– Jak zmiennokształtny – zauważyła B-97. – Dlatego jest oporny na wszystkie antybiotyki.

B-97, inżynier mechanik i matematyk, sześć lat po zrobieniu podwójnego doktoratu na MIT, była najmłodsza z Bliźnich. Jej iloraz inteligencji wynosił sto osiemdziesiąt dwa.

– W istocie – zaczął B-80 – postać Gram-dodatnia, jak się wydaje, jest wrażliwa na pewne antybiotyki, ale już Gram-

-ujemna absolutnie oporna na wszystkie, to znaczy z wyjątkiem jednego, a w zasadzie jednej sekwencji antybiotyków. B-71 niemal przypadkiem odkrył połączenie związków chemicznych, które, stosowane w ściśle określonej kolejności, całkowicie unicestwiają bakterie Janus. Antybiotyki zostały przetestowane na zarażonych świniach, później na małpach i w końcu na ludziach. Zakażenie znikało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Bez skutków ubocznych?

– W ciągu trzech ostatnich lat żadnych nie zaobserwowaliśmy. Ale teraz pojawił się problem.

– Znaczy wyzwanie – poprawił Bacon.

– Oczywiście. Wyzwanie. Szczep Janus działa zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Pod tym względem nikt w rządzie nie ma wątpliwości, że jesteśmy w stanie spełnić naszą groźbę.

Nazwa szatańskiego mikroba została starannie wybrana. Mający dwa oblicza Janus był rzymskim bogiem dwoistości – początku i końca, komedii i tragedii, narodzin i śmierci, zdrowia i choroby. W samej nazwie było coś niepokojącego i właśnie na tym zależało komitetowi doradczemu. Na wywołaniu zaniepokojenia.

Baconowi podobał się sposób, w jaki szef projektu Janus udzielał wyjaśnień. Niestety wiedział, co będzie dalej.

– Ale sytuacja się zmieniła – powiedział, kończąc za B-80. – Nasza terapia już nie jest skuteczna.

Pociągając następny łyk szkockiej, Bacon starał się zapanować nad emocjami. Po latach prób i eksperymentów, pokonywania przeszkód i zmierzania małymi krokami do ostatecznego celu – postawienia Kongresu i prezydenta w obliczu zagrożenia, którego nikt nie będzie mógł zbagatelizować – w końcu zyskali możliwość zrealizowania misji,

spełnienia marzeń. I teraz oporność bakterii mogła zniweczyć ich plany. Musi być jakiś sposób na poradzenie sobie z tą komplikacją.

– Otóż to – zgodził się B-80. – Wyzwanie, jak trafnie to ująłeś, polega na tym, że szczep Janus jest po prostu za dobry.

– Za dobry? – powtórzył pytająco B-44.

Był wysoko odznaczonym admirałem w stanie spoczynku, obecnie senatorem z Rhode Island. Miał obowiązek pośredniczyć w kluczowych dla projektu Janus rozmowach z rządem, zachowując w tajemnicy swoją przynależność do stowarzyszenia. Asystowała mu B-9, z którą do czasu tej niespodziewanej komplikacji byli blisko, bardzo blisko sukcesu. Pomiot Rooseveltowskiego Nowego Ładu znalazł się na skraju wymarcia, a wizja Lancastera Hilla zaraz miała się urzeczywistnić.

Ameryka już nie będzie zakładnikiem własnego rządu i kraj zacznie rozkwitać, w końcu wyzwolony z finansowych oków świadczeń. Opieka społeczna, ubezpieczenia zdrowotne dla ludzi w podeszłym wieku i tych o niskich dochodach staną się anachronicznymi symbolami pasożytniczej, destrukcyjnej polityki programów pomocowych. Olbrzymi dług publiczny stopi się jak zaspa wiosennego śniegu. Do szpitala będą przyjmowani tylko ci, których na to stać.

– Najpierw – powiedział B-80 – zakażenie rozprzestrzeniło się bardziej, niż przewidywaliśmy. Następnie, kiedy próbowaliśmy je zahamować, podczas gdy władze w Waszyngtonie rozważały naszą propozycję, odkryliśmy, że Janus stał się oporny na nasze antybiotyki.

– Przybliż zagadnienie – poprosił B-44.

– B-9 rejestruje wszystkie zgłoszone przypadki infekcji.

– Rzucę je na ekran – zaproponowała szefowa strategii

i logistyki.

Na ekranie pojawiła się mapa Ameryki. W niektórych stanach widać było czerwone kropki – każda kropka, zgodnie z legendą, oznaczała przypadek zarażenia tym, co media ochrzciły mianem Mikroba Sądnego Dnia.

– To mapa sprzed dwudziestu miesięcy – wyjaśniła B-9. – Wszyscy zostali zarażeni przez osoby, które do tego zwerbowaliśmy. Każda z nich jest godna zaufania i w pełni popiera naszą filozofię oraz cele. A tutaj mapa sprzed dziewięciu miesięcy. Zakładaliśmy, że zakażenie się rozprzestrzeni, i właśnie to tutaj widzimy. W tym czasie Goodings, sekretarz Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, zwróciła się do nas z prośbą, żebyśmy przestali zarażać i leczyli naszymi antybiotykami tych już zainfekowanych, dopóki nie spotka się z prezydentem. Wtedy zaczęły się kłopoty.

Nowa mapa zastąpiła starą i Bacon natychmiast poczuł skurcz w piersi. Zamiast czerwonych kropek w piętnastu stanach zobaczył czerwone kropki w każdym stanie, przy czym ich liczba tam, gdzie były już wcześniej, czterokrotnie się zwiększyła.

– Myślałem, że bakterie potrzebują głębokiej rany, żeby zarazić organizm – powiedział.

– Również tak myśleliśmy – odparł B-80. – Janus nie tylko stał się oporny na nasze antybiotyki, ale też rozprzestrzenia się w niespodziewany sposób. Swoją drogą, to dość niezwykłe. Nasi naukowcy nigdy nie widzieli tak szybkiej adaptacji.

– B-44, jak obecnie wyglądają nasze negocjacje z sekretarz Goodings? – zapytał Bacon.

– Wszyscy panikują z powodu wycieku informacji. Wiedzieliśmy, że będą grać na zwłokę, dopóki ich mikrobiolodzy nie opracują skutecznego leku. O ile nam wiadomo,

jeszcze im się to nie udało. Zbliża się wyznaczony przez nas ostateczny termin, ale oczywiście ta nowa oporność zmienia sytuację na naszą niekorzyść. Gdy tylko rząd zrozumie, co się dzieje, stracimy atut w negocjacjach.

– Szybka adaptacja zaskoczyła nas wszystkich – powiedział B-80. – Początkowo, jak wspomniałeś, bakterie wymagały głębokiej rany, żeby spowodować infekcję. Obecnie może wystarczyć każde większe skaleczenie, nawet zadarta skórka przy paznokciu. Lekarze będą musieli zastosować nadzwyczajne środki zabezpieczające, żeby odpowiednio chronić siebie i pacjentów przed zarażeniem.

Bacon poczuł rumieńce na policzkach. Bał się odpowiedzi na pytanie, które musiał zadać.

– Jak według twojego modelu będzie wyglądać sytuacja za rok?

– To tylko przewidywania – wtrąciła B-9 – ale sądzę, że nie spodoba ci się to, co zaraz zobaczysz.

Mapa zniknęła z ekranu i jej miejsce zajęła kolejna. Bacon zassał powietrze przez zaciśnięte zęby. Kraj wyglądał tak, jakby cierpiał na ciężki przypadek odry. Tysiące zarażonych, nawet w najmniej zaludnionych stanach.

– Dobry Boże, jaka jest przewidywana liczba ofiar śmiertelnych?

– O ile nie znajdziemy sposobu na zwalczenie infekcji, liczba ofiar będzie systematycznie wzrastać. Poza tym, oczywiście, projekt Janus też umrze gwałtowną śmiercią. Nasza karta przetargowa przepadnie i rząd rozpocznie szeroko zakrojone polowanie na członków naszego stowarzyszenia. Raczej wcześniej niż później FBI zaoferuje tyle, że ktoś pęknie.

Bacon się wzdrygnął i zgarbił w wygodnym skórzanym fotelu, czując wsączający się w kości ziąb od wilgotnej ka-

miennej podłogi. Zamiast ratować Amerykę, Stowarzyszenie Stu Bliźnich doprowadzi do jej zniszczenia.

– Nie jesteśmy ludobójcami – oznajmił. – Przyświeca nam szczytny cel… Jakieś pomysły?

Po minucie ciszy głos zabrała B-97, matematyk-inżynier.

– Jesteśmy przekonani, że jeśli zainicjujemy strategię powstrzymywania, zdołamy ograniczyć liczbę ofiar śmiertelnych do mniej niż tysiąca. Ale pozwolę sobie zaznaczyć, to tylko prognoza. W chwili obecnej ogon kręci psem.

– Jaką strategię powstrzymywania masz na myśli?

– Będziemy musieli zabić wszystkie zainfekowane osoby – odparła bez emocji – i przestać zarażać nowe. Pozostając przy psich analogiach, trzeba jednak liczyć się z tym, że pies być może urwał się już z łańcucha.

Bacon wykrzywił usta.

– Jesteśmy tak blisko. Prezydent i sekretarz Goodings wiedzą, jak Janus może wpłynąć na publiczne zaufanie do służby zdrowia. Są o krok od ustąpienia. Teraz w żadnym wypadku nie możemy się wycofać. B-80?

– Uważam, że musimy być bardziej aktywni, jeśli chodzi o opracowanie skutecznej metody zwalczenia bakterii. B-71, który dokonał odkrycia leżącego u podstaw projektu Janus, intensywnie pracuje nad zmodyfikowaniem protokołu leczenia. Oczywiście od chwili, gdy przedstawiliśmy naszą propozycję, rząd też pracuje nad znalezieniem rozwiązania.

– Są blisko?

– Mają mikrobiologa kierującego tajną grupą zadaniową – odparł B-80. – Wprawdzie agencja NSA często uniemożliwia nam przechwytywanie wiadomości, które wymienia z zespołem, ale wydaje się, że robią postępy.

– W takim razie musimy go przekonać, żeby pracował dla nas – zadecydował Bacon. – Musimy mieć i truciznę,

i odtrutkę, bo inaczej wszystko będzie stracone. Możemy do niego dotrzeć?

– Dzięki przezorności B-9 już od samego początku projektu Janus mamy plan awaryjny uwzględniający taką możliwość. B-45 jest naszą wtyczką, z pewnością mu się uda.

W końcu Bacon mógł się uśmiechnąć.

Nieco odprężony, pociągnął łyk szkockiej i zarządził:

– To do dzieła.